Wielkanoc w mirogonowskim dworze

Zofia Reklewska-Braun *(Buffalo, USA)*

Dwór

A jaki był dwór w Mirogonowicach? Stał w bok od drogi: Ostrowiec — Waśniów — Słupia, którą jechały i zapewne nadal jadą, wszystkie wycieczki na Święty Krzyż z kierunku Ostrowca. Skręcało się z tej drogi na południe, w miejscowości Sarnia Zwola i dalej jechało kiepską, pełną kolein, wybojów i – po deszczu – błota, drogą polną, około jednego kilometra do czworaków, stawów i pierwszych zabudowań dworskich. Po prawej dominowały nad polami Góry Jeleniowskie, z Górą Witosławską niemal w prostej linii królującą od południa nad Mirogonowicami i Wronowem. Teren był pofalowany, malowniczy, urodzajny, z dobrą sandomierską rędziną i glinką lessową, o których uczyłam się potem w szkole na geografii, jako o najżyźniejszych rodzajach gleby w Polsce.



Dwór w Mirogonowicach, lata trzydzieste XX w., fot. arch. Zofii Reklewskiej-Braun.

Ukryty w dużej kępie drzew i zieleni, na niewielkim wzniesieniu ponad dwoma stawami, rozdzielonymi szeroką groblą, po której przemykała wąska droga dojazdowa – „stał dwór szlachecki, z drzewa, lecz podmurowany, świeciły się z daleka pobielane ściany…".

Adres pocztowy pamiętam z kopert, które lubiłam sylabizować ucząc się – bardzo wcześnie – czytać: „Dwór Mirogonowice, gmina Momina, powiat Opatów". Dom na zewnątrz był skromny, właściwie parterowy z przybudówkami, które znaczyły kolejne przebudowy i remonty. Nad wejściem frontowym, z dużą sienią, do której wiodły wysokie, kamienne schody, wznosiła się niewielka facjatka, będąca chyba pokoikiem gościnnym, a może składzikiem? Wnętrza dworu były piękne, zabytkowe, bogate w dzieła sztuki i rzadkiej jakości zdobienia.

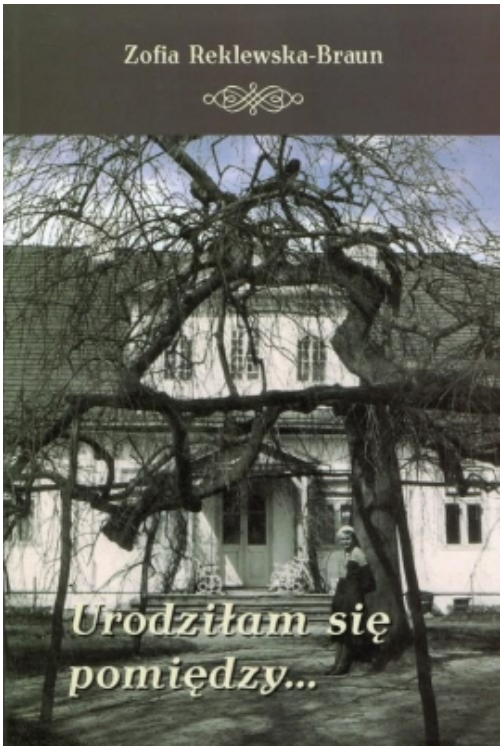
Moja pamięć zamazała już bardzo szczegóły i kształty, choć mogę jeszcze przywołać nastrój niektórych pomieszczeń. W pomoc przyszła mi dość nieoczekiwanie praca magisterska Małgorzaty Pronobis, studentki KUL-u, która, pod kierownictwem

profesora Tadeusza Chrzanowskiego, napisała w 1993 roku pracę badawczą o historii domu mego dzieciństwa. Jak się okazuje należał on do najwyższej klasy zabytków sztuki polskiej.

Sama nazwa miejscowości Mirogonowice notowana jest w archiwach już w XV wieku. Wspomina ją Jan Długosz w swych *Dziejach Polski*, a że nigdy tam nie było wsi, jedynie posiadłość ziemska, można sądzić, że prehistoria dworu mirogonowskiego sięga właśnie tego okresu.

Dom, który mogę nazwać moim domem rodzinnym, był stary, zapewne z pierwszej połowy XVIII wieku, drewniany, z bali modrzewiowych, ale podpiwniczony i to właśnie podpiwniczenie świadczy o istnieniu dawniejszej budowli, która musiała stać na tym samym miejscu. Obok domu był murowany lamus, nazywany także czasem zborem ariańskim, który historycy szacują na XVI wiek. Dwór przeszedł kilkakrotne przebudowy. Bale modrzewiowe pokryto tynkiem, a na tynk we wnętrzach naciągnięto duże panele płótna malarskiego, na których wykonane zostały polichromie o wysokiej jakości artystycznej, najpewniej w początku XIX wieku.

Także i moja Mama, przybywszy do Mirogonowic jako „Pani domu”, zaraz na początku swego małżeństwa, dokonała generalnego remontu i przebudowy niektórych części, w tym całego prawego skrzydła dworu, w którym mieściły się nasze sypialnie. Mama opowiadała żartobliwie, że kazała podówczas wyrzucić kilka furmanek śmieci ze dworu i zaprowadziła nowe porządki, co nie koniecznie podobało się Ojcu.



Okładka książki wspomnieniowej Zofii Reklewskiej-Braun, wyd. Norbertinum 2016 r, wyd. drugie.

Z dzieciństwa pamiętam mroczność pomieszczeń, pewien brak swiatła dziennego, ponieważ okna były niewielkie i mało wpuszczały z zewnątrz światła. Wieczorem i w nocy używało się wyłącznie lamp naftowych i świec. Elektryczności nie było jeszcze wtedy w Mirogonowicach. Przypominam sobie malarstwo ścienne, zwłaszcza pewną scenę na wodzie: wąskie łodzie, rybacy, wiosła, jakieś zabudowania w tle… Zdobne piece kaflowe, które zimą przyciągały swym ciepłem. Jeden był niezwykły — okrągły… W saloniku cieszył widokiem ognia i żarem polan, kominek… Salon i salonik, oba z fortepianami — jeden z nich był biały, tak samo jak i meble wokół niego…. Lubiłam tę białość w odróżnieniu od mroku innych pomieszczeń, których się trochę jako dziecko bałam. „Pokój turecki" intrygował dzieci niezwykłością rekwizytów, jakie go wypełniały, ale dopiero znacznie później, czytając *Trylogię* Sienkiewicza potrafiłam znaleźć doń właściwy kontekst historyczny. Na jego ścianach wisiały „szale," to znaczy wielkie jak arrasy tkaniny — czerwone, przetykane czernią. Zresztą nie pozwalano nam zbyt często do „pokoju tureckiego"

wchodzić.

Biblioteka zapełniona była książkami, niedostępnymi we wczesnym dzieciństwie dla mnie, bo nie umiałam jeszcze czytać. Część z nich powędrowała z nami do Ostrowca, gdzie wiele z tych książek służyło mnie i Zygmuntowi w latach szkolnych. W Mirogonowicach czytano nam bardzo dużo głośno, no i kazano się uczyć na pamięć. Pamiętam okładkę mojej ulubionej książki *Cztery bajdy ciotki Adelajdy* i początek wiersza, który kazano mi mówić przy większym zgromadzeniu gości:

Na marchewki imieniny,

Zeszły się wszystkie jarzyny.

A marchewka gościom rada,

Takie bajdy opowiada…

Biblioteka wydawała się duża oczom dziecka i bardziej niż inne pokoje ciemna. Za to kaplica, do której się szło przez bibliotekę, musiała mieć większe okna i wraz z nimi więcej światła. Pamiętam częste wizyty z Mamą za rękę, składane w tym miejscu domu. Podczas wojny mieszkał z nami stale Ojciec Innocenty Buba, pijar z Krakowa, późniejszy prowincjał Pijarów polskich. Jego obecność umożliwiała codzienną Mszę Świętą w naszej domowej kaplicy. Jak było przed tym – nie wiem. Ale przypominam sobie też niezwykle uroczystą wizytę biskupa sandomierskiego w czasie okupacji, który dokonywał rutynowych wizyt pastoralnych we wszystkich tego typu dworskich i pałacowych kaplicach.

Od wejścia do kaplicy przykuwał oko dużych rozmiarów krucyfiks, rzeźbiony w drzewie („lipowym” – dopowiedziała mi później Mama), z niezwykle wyrazistą figurą umęczonego Chrystusa, zwisającego bezwładnie w dół, ze spojrzeniem na Maryję stojącą u podnóża krzyża. Z drugiej strony Święty Jan Ewangelista. Insygnia Męki Pańskiej ramowały krzyż od dołu i po bokach. Barokowe anioły w rogach podtrzymywały wstęgi łacińskich napisów – chyba cytatów z Pisma Świętego.



Odjazd biskupa sandomierskiego Jana Kantego Lorka, który wizytowal kaplicę w mirogonowskim dworze, prawdopodobnie w 1943 r. .Autorka wspomnień w białym kołnierzyku na rękach niani, fot. arch. Zofii Reklewskiej-Braun.

Posiadał też dwór mirogonowski cały szereg innych pomieszczeń w rodzaju sypialń, kredensu, kuchni, śpiżarni, a chyba też coś w rodzaju pralni. Choć, naturalnie, nie było tam kanalizacji ani bieżącej wody.

Moja dziecinna pamięć nie umie odtworzyć planu całego dworu, jedynie pojedyncze pomieszczenia związane z określonymi wydarzeniami, które się utrwaliły we mnie mocniej niż inne. Jedno jest dla mnie pewne, że nie był to żaden luksusowy pałac, pełen zbytku i wykwintnych, a mało praktycznych pomieszczeń. Odwrotnie, mam prawo przypuszczać, że był to bardzo zwykły, duży dom mieszkalny ludzi przyzwyczajonych do ciężkiej pracy, do wczesnego wstawania i wczesnego kładzenia się spać, ludzi związanych z ziemią i kochających całym sercem swą ziemię, i całą bogatą tradycją rodzinną. Obrazy, znaki i symbole artystyczne zdobiące ściany mirogonowskiego dworu przeniosły z wieku w wiek informację o systemie wartości duchowych i moralnych jakimi Reklewscy żyli. Nie różniły się one niczym od tego, czym w XVIII, XIX i XX wieku żył każdy uczciwy Polak: „Bóg, Honor i Ojczyzna!” A

tej Ojczyzny dotykało się najbliżej i najpełniej we własnej, dobrze uprawionej ziemi.

Dwór mirogonowski uległ całkowitemu zniszczeniu po wojnie w okresie reżimu komunistycznego, kiedy to został zamieniony na siedzibę Państwowego Gospodarstwa Rolnego, w skrócie „PGR”. Mimo wielokrotnych petycji ze strony różnych osób prywatnych i instytucji, państwo komunistyczne nie uczyniło nic, żeby uratować ten wysokiej klasy zabytek. Gdy zakładano skansen w Tokarni na Kielecczyźnie pojawił się pomysł, żeby nasz dwór przenieść do niego. Ale i na to już było za późno. Realne mogło być jedynie zbudowanie repliki dworu mojego dzieciństwa. Władze wojewódzkie obiecywały to wielokrotnie… Obecnie dwór jest odbudowany i mieszka tam mój brat Zygmunt Reklewski z rodziną.



Mirogonowice, stan obecny. Dwór został odbudowany przez brata Zofii Reklewskiej-Braun, Zygmunta Reklewskiego, profesora SGGW w Warszawie, który od dziesięciu lat mieszka tam z rodziną.

Ostatnia wojenna Wielkanoc

Ojciec Innocenty, pamiętam, zorganizował ostatnią wojenną Wielkanoc w Mirogonowicach. Wiadomo już było, że wojna idzie ku końcowi, że Niemcy muszą przegrać. Nikt jeszcze nie przewidywał tragicznego końca Powstania Warszawskiego, ani zagarnięcia całego kraju przez Sowiety. Dokonywała się stopniowa koncentracja oddziałów partyzanckich. Zapewne było to przygotowanie do akcji „Burza". Partyzanci świętokrzyscy także musieli już być w nią zaangażowani. Może zbierali się właśnie na tę wędrówkę ku stolicy, która miała stać się miejscem ostatecznej rozgrywki o Polskę prawdziwie wolną, zarówno od okupacji niemieckiej jak i sowieckiej? Przyszli do Mirogonowic świętować Święta Zmartwychwstania Pańskiego z nadzieją na najlepsze. Pamiętam te Święta.

Było już pięknie, wiosennie, ciepło. W ogrodzie, na trawniku pod starym jesionem, który Wuj Zbyszek Wasiutyński upamiętnił na Mamy ex-librisach, siedział na krzesełku Ojciec Innocenty i spowiadał. Długi szereg wychudzonych sylwetek czekał na tę okazję w wielkim skupieniu i ciszy. Nie wiem ilu i jak długo się spowiadało, ale zapewne trwało to godzinami. W tym czasie od przodu domu pojawił się Ksiądz Glibowski z Waśniowa święcić pokarmy. Długie stoły, przykryte lnianymi obrusami, pełne jakichś najprostszych produktów stały na klombie przed domem. Ksiądz Prałat szedł wzdłuż stołów z wielkim kropidłem w dłoni, z którego spadały na pokarmy i na nas rzęsiście błyszczące w słońcu krople. Święcone było nie tylko dla nas ale i dla pracowników dworskich i dla partyzantów.

A potem Msza Św. od strony ogrodu. Odprawiał Ojciec Innocenty. Ołtarz polowy ustawiony był na werandzie, a my wszyscy klęczeliśmy w trawie pod jesionem.

Klęczę i ja z moim rodzeństwem. Wszędzie dookoła nas partyzanci. Widzę przed sobą ich przetarte na wylot zelówki butów. Starte, spłowiałe koszule, prawdziwie wiatrem podszyte wiatrówki. Każda trochę inna, wiele „zdobycznych" na Niemcach. Jedność umundurowania stwarzają te właśnie dziury w zelówkach, wyblakłość tkanin i zużycie materii. Dzwonek, ministrant dzwoni na Podniesienie. Ksiądz podnosi Pana Jezusa nad głową. I cisza… Wielka nabrzmiała błaganiem cisza. Tylko ptaki w gałęziach drzew zwiastują wiosnę. Długo w skupieniu cały oddział przystępuje do Komunii Świętej na schodach ganku. Podchodzą czwórkami i klękają. Większość to bardzo młodzi chlopcy. Wielu nie ukrywa łez. Żaden nie wie czy dożyje jutra…

Można przypuszczać, że ginęli masowo w czasie akcji „Burza”, idąc z pomocą Powstaniu Warszawskiemu.

Fragment książki wspomnieniowej Zofii Reklewskiej-Braun „Urodziłam się pomiędzy”, wyd. Norbertinum, Lublin 2016 (drugie wydanie).